

MAGDALENA SZPONAR

On jest nieśmiały, ona przebojowa.
Czy świąteczny cud wystarczy, by odnaleźli drogę do siebie?



Nikotaj
w prezencie



Copyright ©

Magdalena Szponar

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Wiktoria Kulak

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-396-2

MAGDALENA SZPONAR

Nikotaj
w prezencie

RODZENSTWO MACH #1

Wszystkim zakochanym w Bożym Narodzeniu...

Zanim zacniemy

*Trzymacie w ręku wyjątkową dla mnie historię.
Tym razem akcja dzieje się prawie obok mojego domu ;)
Dlatego muszę Was uprzedzić,
wszystkie zdarzenia, postaci, miejsca
to jedynie wymysły mojej pokręconej wyobraźni.
Mam nadzieję, że Was nie zawiodę, ale...
zbieżność imion i nazwisk również jest przypadkowa.*

*Bawcie się dobrze!
Wasza Magda*

Rozdział 1

Dalia

– Zapomnij! – warknęłam wprost do telefonu trzymanego w dłoni.

– Siostra... – Jęczenie Czarka już na mnie nie działało.

Gdzieś od dwudziestu pięciu lat, ale nie żebym liczyła.

– Nawet nie zaczynaj! – przerwałam mu, zanim zdążył się bardziej rozwinąć.

Jego prośba była niedorzeczna! Rozumiałam wychodzenie ze strefy komfortu, by pomóc bratu, ale bez przesady, do cholery!

– Dalia – mruknął tym swoimi głosem, dzięki któremu ustawiały się do niego kolejki rozochoconych dziewcząt.

Boże, jak ja go nie cierpiałam! I kochałam jednocześnie. A, zapomniałam dodać: tak, miałam na imię Dalia, niestety. Możecie podziękować moim kreatywnym rodzicom. Nazywali swoje dzieci zgodnie z alfabetem. I tak mój najstarszy brat nosił imię na cześć biblijnego Adama (pasowało jako pierworodnemu, co nie?), drugi nazywał się Bartosz (wciąż w miarę normalnie). Potem byliśmy my: Cezary i Dalia. Cholerni bliźniacy. Na moje szczęście Czarek urodził się dwie minuty szybciej. W innym przypadku mogłam skończyć jako Cecylia. Brr. – Potrzebuję cię. Obiecałem chłopakom. No weź, mnie chyba nie odmówisz?

– Przecież właśnie to robię, kretynie!

Czarek wziął tak głęboki wdech, że prawie zobaczyłam, jak się zapowietrzył. I dobrze, niech sobie nie myśli, że spełnię jego nedorzeczną prośbę! Miałam szczęście, że akurat znajdowaliśmy się na dwóch przeciwległych krańcach miasta: on na służbie, ja w mojej cukierni. Przynajmniej nie musiałam oglądać tych jego oliwkowych oczu jak u kota ze Shreka. No chyba że spojrzę w lustro, bo wtedy zobaczyłabym takie same. Przerazająco identyczne.

– Dobra. Jeśli się zgodzisz, będę ci wisiął przysługę – powiedział w końcu.

Pojaśniało nade mną, serio. Włączyła mi się jakaś pieprzona żarówka, nie, co ja gadam, cały żyrandol!

– Jesteś tego pewien? – mruknęłam podejrzliwie.

– Tak. Obiecuję.

To było święte słowo. Skoro obiecał, dotrzyma słowa. Uśmiech rozświetlił mi twarz niczym u pieprzonego Jokera.

Oj, braciszku, nie wiesz, w co się pakujesz, pomyślałam.

– Dobra. Ogarnę wam te ciasta. A w sylwestra ty będziesz moim kierowcą. Stoi? – Od razu postawiłam swoje warunki. Musiałam kuć żelazo, póki gorące.

Czarek był na ostatniej służbie przed Wigilią, która wypadła za trzy dni. Miałam już od cholery zleceń, więc jego prośba w ogóle mi nie pasowała. Oznaczała, że będę musiała zapieprzać po godzinach, żeby się wyrobić. I to ostro. Moja cukiernio-kawiarnia przynosiła spore zyski, ale wymagała też ogromnego nakładu pracy. Było mi o tyle trudniej, że Mania (jedna z moich przyjaciółek i współpracownic jednocześnie) zaszła w ciążę. Od początku wystąpiły jakieś komplikacje, przez które nie mogła już pracować. Zostałam więc tylko ja, moja druga przyjaciółka Domi, moja mama Dorota oraz Karolina – kuzynka, która dora-

biała sobie u mnie jako kelnerka i baristka. Jednym słowem – sytuacja prawie nie do ogarnięcia.

– Ale jeśli którykolwiek z twoich kumpli znów będzie do mnie startować, to nie ręczę za siebie – dodałam. – Pamiętasz, jak celnie rzucam ciastem, prawda?

Właśnie dlatego nie chciałam się zgodzić. Czarek był strażakiem, a to oznaczało, że pracuje w miejscu ociekającym testosteronem, z ludźmi, którzy mają w życiu dwa cele: zgasić jak najwięcej pożarów i rozpalić jak najwięcej dziewczyn. A ja nie cierpiałam aroganckich, pewnych siebie i zadufanych facetów. I to wszystko przez moich braci!

Serio, jeśli jesteś jedyną siostrą trzech mężczyzn, możesz po pewnym czasie mieć dość wszystkich reprezentantów tego gatunku. Zresztą mój ojciec był taki sam: po nim odziedziczyli najgorsze wymienione wyżej cechy. Różnica była tylko jedna – tato kochał mamę ponad życie i nigdy nie widział poza nią świata. A moi bracia? Przypomnę: Adam, lat trzydzieści. Bartek, lat dwadzieścia osiem i Czarus, lat dwadzieścia pięć – jak jeden przebierali w kobietach, przedstawiając mnie i rodzinie nową dziewczynę średnio raz w miesiącu. Jeśli miałabym być szczerą, to nie dawałam rady za nimi nadażyć. Dlatego też każdą nazywałam w myślach Kaśką. To wiele ułatwiało.

A żeby było zabawniej, każdy z nich w życiu parał się odpowiedzialnym zajęciem. Adam był policjantem, Bartek ratownikiem medycznym, a Czarek strażakiem. Normalnie trio bohaterów. Tylko ja postawiłam na bardziej przyziemne zajęcie, przejmując po mamie talent do pieczenia ciast, tortów, ciasteczek i wszelkich łakoci. Miało to niestety pewne minusy: każdy cukiernik musi smakować swoich potraw. Smakowałam więc, modląc się, żeby poszło w cycki. Jak na złość szło w tyłek. Kim Kardashian to przy

mnie anorektyczka, poważnie. To z kolei też było niesprawiedliwe. Prędkość przemiany materii u moich braci dorównywała ich umiejętnościom uwodzenia kobiet: jedno i drugie okazywało się błyskawiczne. Ja za to musiałam katować się ćwiczeniami i siłownią, żeby nie wyglądać jak słonica w przechodzonej ciąży. Katastrofa.

To wszystko złożyło się na następującą sytuację: stroniłam od facetów w typie macho, jak tylko mogłam. Na moje nieszczęście przez braci obracałam się głównie wśród takich. Przykre, ale prawdziwe.

Mój typ to koleś w okularkach, informatyk dajmy na to. Lekko przy sobie (ale nie z nadwagą!), taki misiek, w którego mogłabym się wtulić. Koniecznie z dołeczkiem w policzku i figlarnym spojrzeniem. Miał też być zabawny i słodki. Jednym słowem: nieistniejący ideał. Dlaczego? Bo do takiego zestawu oczekiwałam bonusu w postaci odpowiedzialności, konsekwencji i siły (przynajmniej psychicznej). I tak właśnie zataczałam koło.

Miałam w życiu dwóch facetów na serio. Jeden i drugi był typowym miśkiem. Jednego i drugiego pogoniłam, gdy pojawiły się pierwsze problemy w związku. Oni płakali, a ja musiałam być twarda. No, cholera jasna, ile można bujać dorosłego faceta w swoich ramionach, ilekroć zwraca się mu uwagę, żeby nie rozrzucił skarpet po mieszkaniu, bo następnym razem będzie ich szukał w koszu na śmieci! Litości! Tak więc od roku byłam konsekwentną singielką z Różowym Kumplem Od Zadań Specjalnych. Wspólnie dawaliśmy sobie radę.

– Jasne, młoda. – Czarek zaśmiał się do słuchawki. Młoda, bardzo śmieszne. Byłam młodsza o dwie minuty, do cholery! – Uprzedzę chłopaków, że gryziesz, a w Sylwestra jestem cały twój, stoi?

– Nienawidzę cię.

– Też cię kocham.

Rozłączając się, wciąż słyszałam jego dźwięczny śmiech.
Boże, miałam ochotę go udusić!

Rozdział 2

Mikołaj

– I co? – Naskoczyłem na Czarka, kiedy tylko skończył rozmawiać z siostrą.

– Przywiezie ciasta – odparł z uśmiechem.

– Chłopaki! – ryknąłem do kumpli. – Święta uratowane!

– Uśmiech nie schodził mi z gęby.

W odpowiedzi mruknęli jakieś niewyraźne „hurra”. Barany, nie znają się kompletnie. Boże Narodzenie to najwspanialszy czas w roku, przynajmniej dla mnie. A że tym razem padło na naszą zmianę, by spędzić Wigilię w koszarach, za punkt honoru wziąłem sobie sprawienie, żeby atmosfera była jak najbardziej zbliżona do tej domowej.

Czarek zaśmiał się pod nosem i pokręcił głową. Wiedziałem, że też kocha święta, ale nie przyznawał się do tego tak otwarcie jak ja. Z tego, co opowiadał, wynikało, że i w jego rodzinie ten okres jest dość ważny. Może to był główny powód miłości do tego czasu: po prostu mieliśmy fajne wspomnienia. Część chłopaków z naszej zmiany uciekała na służbę przed upierdliwą żoną albo jeszcze gorszą teściową. Część nie miała nikogo. Niektórym święta kojarzyły się okropnie. Takie życie. Dla mnie święta były... no cóż, świętością.

I właśnie dlatego biegałem po remizie, rozwieszając, gdzie się dało, lampki i ozdoby. Po południu mieliśmy podjechać do nadleśnictwa po choinkę na plac. Przed

jednostką chłopaki co rok stawiały wielkie drzewo, które w Wigilię rozbłyskiwało milionem światełek. Dobra, po cichu przyznam się, że był to jeden z powodów, dla których chciałem przenieść się właśnie do Kościerzyny. Drugi był bardziej prozaiczny: pragnąłem być bliżej rodziny, która mieszkała jakieś dziesięć kilometrów stąd.

Ruszyłem za Czarkiem, który skierował się do największego pokoju w remizie. Właśnie zjedliśmy obiad i za moment dowódca pewnie pogoni nas do ćwiczeń, więc korzystaliśmy z chwili, by złapać oddech.

– Słuchajcie – krzyknął Czaro, próbując przebić się przez panujący tu chaos. Część chłopaków naparzała na xboxie w jakąś wyścigówkę dla dzieci, a dwóch grało w bilard. – Moja siora przywiezie ciasto w Wigilię – oznajmił, czym zyskał uwagę wszystkich. – I, kurwa, wara od niej albo wam poprzestawiam zęby – dodał poważnym tonem, unosząc jeden palec.

Dobra, to brzmiało dziwnie. Rozumiałem, że trzeba bronić swojej rodziny. W końcu sam miałem siostrę i brata. Ale to była lekka przesada, tak mi się wydawało.

Wszyscy pokiwali głowami, a kiedy Czarek wyszedł z pokoju, każdy wrócił do swojego zajęcia. Usiadłem koło Dawida, który nie brał udziału w żadnej rozgrywce, jedynie je obserwował.

– O co biega z tą siostrą Czarka? – zapytałem go.

– O to, Nowy, że masz się trzymać od niej z daleka – odparł, zwracając się do mnie pseudonimem, który przyłgnał do mnie miesiąc temu, gdy po raz pierwszy przekroczyłem próg remizy.

– Stary, siostry nas wszystkich są nietykalne – dorzucił Czips, odrywając na sekundę wzrok od ekranu telewizora. I przegryzając kolejnego chipsa, oczywiście.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Dobra, to do mnie przemawiało. Z tego, co zdążyłem zauważyć, jedynie trzech z obecnych tutaj gości miało stałe partnerki. Ale akurat Maciek i Kamil byli odrobinę starsi i już dawno po ślubie. A Filip, no cóż, dopiero co się zakochał, przynajmniej tak mówił. Poza nimi zmiana w większości składała się z młodzików albo wiecznych kawalerów.

Pomyślałem sobie, że Czarek zapewne chce ochronić niewinną siostrę przed taką bandą podrywaczy. Wyobraziłem ją sobie jako drobniutką blondyneczkę, lekko wycofaną i nieśmiałą, taką małą anielicę. Uśmiechnąłem się pod nosem. No tak, sam bym bronił takiego cukierka. Mogłem to uszanować. Obiecałem sobie w duszy, że będę trzymał łapy przy sobie. Co zresztą przychodziło mi dość łatwo, bo... no dobra, przyznam się. Byłem trochę nieśmiały. Ale to nie znaczyło, że nie miałem w życiu dziewczyn. Miałem ich kilka. Jednak to one zawsze robiły pierwszy krok, a ja startowałem dopiero wtedy, gdy dostawałem od nich zielone światło. Jak się niestety okazywało, każda z nich szukała fajnej przygody i kompletnie nie rozumiały, kiedy mówiłem, że chcę czegoś poważniejszego. Dzięki temu nauczyłem się, że jednak nie wszystko wygląda tak, jakbyśmy chcieli. Moi rodzice byli wspaniali i darzyli się niesamowicie silnym uczuciem. Marzyłem o czymś takim, a niestety dzisiaj nie było to aż tak oczywiste. Ba, normalny związek okazywał się raczej czymś niespotykanym.

Niechętnie przystawałem więc na zaproszenia kumpli do barów z byle okazji. Większość z nich uwielbiała rozbijać się po knajpach i klubach w pobliskich miastach, podrywając co sobotę inną pannę. Jeździłem z nimi, żeby nie wyjść na jakiegoś piździaka, ale kompletnie tego nie czułem. Choć przyznam, że sam czas spędzony z chłopakami

wspominałem zawsze bardzo dobrze. Powoli tworzyła się między nami więź, której nie dało się zignorować. I na tym mi zależało. Strażacy to jedna wielka rodzina. Przenosząc się tutaj, chciałem stać się częścią ich paczki. Chciałem być jednym z nich.

Moją rozkminę przerwał dźwięk dzwonek. *No to wio*, pomyślałem, próbując odplątać się z lampek, które przewiesiłem sobie przez plecy.

– Ej! Pomóż mi ktoś! – Zaśmiałem się, kiedy pozostali omijali mnie, kierując się do garażu.

– Nowy! – ryknął Czips, śmiejąc się w głos wraz z resztą.
– A może zaczniemy cię wołać „Święty”?

– Bardzo śmieszne – mruknąłem, w końcu uwalniając się od łańcucha z lampek.

Rzuciłem je na stół do bilardu i pobiegłem za tymi baranami. Do moich uszu dolatywał jedynie ich śmiech.